

43124

N-vy puzal.

ROK III.

SŁONIM — LISTOPAD.

N^o 1.

MŁODY LITERAT

MIESIĘCZNIK

uczniów Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki
w Słonimie, przy współudziale Koła Akademików
w Warszawie.

Cena 40 groszy

1931

NAKŁADEM BRATNIEJ POMOCY UCZNIÓW

MŁODY LITERAT

MIESIĘCZNIK

uczniów Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki
w Słonimie, przy współudziale Koła Akademików
w Warszawie.

Adres Redakcji i Administracji: Słonim, Państwowe
Gimnazjum im. Tadeusza Kosciuszki, Ułańska Nr. 5.

Koleżanki i Koledzy!

130381 34616
Pisemko gimnazjalne, tak jak i zeszłych lat, wita was znowu. W tym roku jednak, nie jest to „Nasza Myśl“, lecz „Młody Literat“. Tytuł uważaliśmy za wskazane zmienić z kilku powodów. Jednym z nich jest zarezerwowanie pisemka wyłącznie dla prac uczniów gimnazjum, drugim, połączenie się wydawnictwa z Kołem Akademików w Warszawie, a trzecim, wypływającym z tych, konieczność zmienienia jego nazwy. W związku z reinkarnacją pisma, należało zreorganizować jego wydawanie, ponieważ nie odpowiadało wymaganiom czasu. Nowa redakcja jęła się więc intensywnej pracy. Po paru tygodniach numer był skompletowany i można go było oddać do druku. Lecz dalsze powodzenie pisma zależy tylko od Was i tylko dalsza Wasza współpraca z redakcją może je postawić na wysokości zadania: zobrazowanie życia literackiego naszego zakładu. Niech więc ta odezwa nie będzie czcą formalnością, a prędkie zorganizowanie pierwszego numeru ogniem słomianym. Do pracy więc, a zwoławszy Muzy, piszcie o wszystkim, co one Wam podszeptają, Redakcja zaś będzie się starała utwory wasze publikować.

Redakcja.

„Lech“, kl. VIII.

PIOSENKA.

(Na nutę „Tysiąc walecznych“ albo
„Wszystko mi jedno“
albo — jak kto chce!...)

Wiwat, niech żyje wiek nasz ukochany
Dowcip, fantazja nie opuszczą nas;
Optymizm serca miłością owiany
Wydzwania wiosny czarowny nam czas.

Dlaczegoś smutny, strapioną masz minę;
Ku ziemi spuszczasz zamglony łąż wzrok.
Ześ dostał dwójkę za suchą łacinę,
Już cię rozpaczy owiewa zły mrok.

Pociesz się bracie, bo to nie jest pierwsza.
Przed sobą jeszcze cały roczek masz,
A wesołości ucz się z tego wiersza—
Smutek zaś zostaw na późniejszy czas.

A więc niech żyje młodość, wiosna nasza,
Niech tętni życiem, niechaj szczęściem tchnie,
Niech tworom gnuśnym twarz rozkwasza,
A nam wesołe niechaj płyną dni!

„Jesienne Skrzypce“.

Wdzięk twój właściwy, pogodny nastrój, a powie-
dziawszy, „suma sumarum“, tę małowniczość swego rodzaju
ma każda pora w przeciągu roku. Mnie osobiście najwięcej
wzrusza fala pożaru pory jesiennej, która nastraja arfę mej
duszy na ton monotony, melancholijny, na niej wygrywam
stan jej bolesny, skon tak przedwczesny, marsz pogrzebowy
matki-natury; bez skargi, lęku, zaczętej bitwy, powolnym
tempem, w przepysznych szatach wciąż umierało zielone
życie matki przyrody; żółte, czerwone, pomarańczowe, każdym
dniem nowe, nieme pocztówki pergaminowe rzucało w błoto;
oni, jak ptaki na odlot w cudze i niewiadome strony chcieli
odlecieć stają wędrowną; z zimnej już ziemi wiatr je podry-
wa, w pląsie tanecznym z nimi wiruje tchem szeleszczącym,
w kole zaklętym; potem je rzuca na ziemię zmiętą, zbrzga-
ne błotem i oszpecone szalem porywczym bujnego wiatru,
roznosząc wszędzie i rozsypując po kątach drogi. Płyną łą-
będzie... Uszał czci godne, znękane piersi zmęczonej ziemi;
ostatnie liście oberwał z krzaków i niemi zakrył powierzchnię
wody stawu niemego i mównej rzeki, co w dal toczyła swe

zimne wody u stóp korzeni drzew pochyłonych, w toń jej patrzących; z resztą bursztynów umknął swawolnie na obszar czarny ornego pola, nucąc żałośnie pieśni jesieni i pogwizdując pędził zawrotnie, jakby w obawie pogoni, będąc niepewny swego zwycięstwa. Każdy ten listek świeżo zerwany, dla mnie się zdaje jękiem ratunku, lub rozpaczliwem nawoływaniem „Save ours souls’em pośród płomieni, co zataczają w głąb swoją kręgi coraz to szerzej, złotego ognia. Pożaru tego leśnego już nie zagaszą brwi pomarszczone chmur ołowianych, a łązy, co spłyną z ich srogich oczu powiększą urok tej panoramy.

Przechodzę mimo, zdziwiony czarem pożółkłych liści, skonem przyrody majestatycznym i grą precudną kolorów barwnych.

Ma pierś tak wzbiera, że upojona tą panoramą, już pragnie wydać okrzyk radości i zachwytu.

Ale zaczekaj, marny człowieku, czy się należy śmierć okrzykiwać? Może niech lepiej łąza ta upadnie.. (tak lamantuje z głębi mej duszy arfa dźwięcząca) Dlaczego nie mam prawa podziwiać śmierci bohaterskiej, ja, mały człowiek, śmiertelny w świecie, któremu takież przypada umrzeć, śmiercią tchórzliwą, lub bohaterską, niepospolitą, tą przeznaczoną, co los wypisał w dziejach nam przyszłych?

Doprawdy warto być blisko śmierci. Jest tak cudownie nęcąco, gdy serce nasze pełne otuchy kroczącym wdziękiem złotej jesieni mówi nam słowa bliskiej śmierci.

My przecie z dumą nie potrafimy umrzeć spokojnie, bez skarg, bez jęku, z gniewnem spójrzeniem w swoim obliczu, gdy śmierć nam zajrzy w zalęknione oczy. Są za tchóźliwe nasze natury na czyn tak wielki, a hohaterski. Chyba tak Grecy mogli umierać z gestem wspaniałym, gardząc swem życiem.

Ja pesymistą wcale nie jestem, lecz czas jesienny tak mnie nastraja, że moja dusza nuci piosenki smutne, płaczące, melancholijne, kiedy włóczę zmęczone nogi po drodze leśnej, liściem usypanej; myśli wirują w kole zaklętem, jakby na odlot z rzeszą skrzydlatą, w dalekie strony chciały odlecieć; wtedy i struny mej arfy drgają, a z ust spływają następne słowa:

Jeśli las żółtym liściem okryty,
Jeśli astra w ogródku przekwita,
Jeśli gwiazda się stoczy z orbity,
Jeśli fala o granit rozbita—
To jest śmierć — lecz bez skargi i męki
To jest śmierć w majestacie piękności,
To jest skon ulubionej piosenki,
Skon uśmiechu na ustach młodości.

Tu nauczymy się z życiem borykać,
 Lub bez błagań swój koniec spotykać;
 Więc, gdy śmierć pocznie smagać nas biczem,
 Będziem śmiać się jej w srogie oblicze.

„J. W.“

Save ours Souls początkowe litery S. O. S. „Ratujecie nasze dusze“.

J. W.

„OGRÓDEK“

Wśród kwiatów, co kwitną w czas późny, jesienny
 W ogródku malutkim, pod moją pieśczętą.
 Me serce napełnia się dziwną tęsknotą,
 Że promień ich życia zagasa codzienny.
 Me serce napełnia się żalem i smutkiem
 Na widok kroczącej, złocistej jesieni,
 A piosnka przyrody o znikłej zieleni
 Porywa do pieśni me serce młodziutkie.
 Porywa i śpiewa o czasie swym krótkim,
 Ujrawszy przed sobą okowy zimowe;
 Skrzypce zagrały melodje nowe
 Akordem bolesnym, czarownym, miłutkim,
 Stwarzając minorowe uczucia w mem sercu,
 Znajdując tam echo strun moich nastroje, —
 I z rytmem jesieni stoimy we dwoje
 Na ślicznym, wzorzystym, jesiennym kobiercu.

B. S. kl. VII.

Z „Die Meeresromanze v. Lenau, Heine'go.

Z głębin morza sterczy ruńska skała,
 siedzę na niej z memi snami.
 Wiatr gwiżdże, krzyczą mewy zdala,
 kolebią się fale i głuszą szumami
 Piękne dziewczątko kiedyś pokochałem
 i z druhem mi było wesoło —
 Gdzież się podziali? Wiatr gwiżdże i fale
 szumią i kłębią się wkoło.

Z „Nachts in der Kajüte Heine'go.“

Morskie otchłanie mają perły swoje,
 gwiazdy na niebie miljonem się roją,
 a moje serce, o to serce moje
 ono ma wewnątrz też coś: miłość swoją.

Cet VIII.

KOMENDANT

OBRAZEK SCENICZNY.

O s o b y:

JAN — wartownik
MAREK
JÓZEK
WITEK
ROMEK

} żołnierze

JULEK
PORUCZNIK
MORYC — kuchta
MARYSIA — siostra Julka
JASIA — koleżanka Marysi

ODSŁONA I.

Scena przedstawia przedpokój pracowni porucznika. Pod ścianami na ławach śpią żołnierze wsparci na karabinach. Pośrodku przechadza się wartownik Jan.

JAN (sam). Żelazne nerwy musi mieć ten człowiek. Sen go nie bierze. Już drugą noc pochylony nad swym biurkiem przegląda mapy, pisze rozkazy. (na chwilę przystaje i nasłuchuje). To wiatr tak zawodzi. Śpią wszyscy, tylko porucznik czuwa i my. (patrzy na zegar). Już druga, zaraz świtać będzie.

MAREK. (śpiący przy ścianie, przez sen). Matko... błogosław, dla dobrej sprawy idę służyć.

JAN. (potrząsając go). Marku, Marku!

MAREK. (budzi się i przeciera oczy). Cóż to? Czy już?

JAN. Nie, jeszcze nie nadeszła twoja godzina. Śniłeś coś i mówiłeś przez sen.

MAREK. Tak, śniła mi się chata rodzinna i szerokie pola. Na służbę szedłem — służbę ciężką i twardą, lecz zaszczytną. Błogosławiła mnie matka. Ten oto krzyżyk dała ze sobą (rozpiną koszulę i pokazuje krzyżyk). Śniło się. Sen przypomniął chwilę, co w przeszłość odeszła (wstaje, poprawia mundur).

JAN. (przystając powtórnie) Ja nie mam matki. Nikt mnie nie błogosławił. Żegnał mnie tylko swym poszumem las, wśród którego wyrosłem. Tyłu szło, poszedłem i ja. Komendant wtedy był biedny. Niewiele liczył żołnierzy, lecz na promienną jego odezwę poszli wszyscy (ożywia się): starz

i młodzi. Sam widziałem, syn z ojcem w jednym szli szeregu, (podchodzi do Marka). Komendant wszystkich do siebie przyciąga, za nim idą w bój i przelewają swą krew w obronie Ojczyzny.

MAREK. (patrzac nieruchomo przed siebie) Pamiętam! Był to dzień krwawy. Szaleńczo wyły nad naszymi głowami pociski. Trup padał gęsty, a Komendant stał pośrodku okopów z gołą głową, gdyż mu kula czapkę zerwała i uśmiechał się do nas a w nas dusza rosła. Koło mnie upadł z jękiem żołnierz. Komendant pochylił się nad nim, umaczał chustkę w krwi jego i pokazując nam, rzekł: „Oto krew bohatera.“ Gdyśmy to zobaczyli: bez rozkazu wyszliśmy z okopów i jak lawina ruszyliśmy na wroga. Zostałem ranny, nie doszedłem, lecz opowiadano mi, że wracających z łupami żołnierzy witał ze łzą w oku Komendant. Młodemu Czar-skiemu, co zdobył sztandar, własnoręcznie przypiął krzyż na piersi. Nas rannych odwiedził w szpitalu. Z każdym rozmawiał, każdemu podał prawicę.

JAN. To bohater, każdy żołnierz go uwielbia.

(Słychać kroki, wchodzą Józek i Witek, prowadząc Julka, chłopca trzynastoletniego w zniszczonem ubraniu)

JÓZEK. Oto nowy amator na żołnierza. Spotkał nas za wsią i prosił o szablę.

WITEK. Niech pójdzie do porucznika i prosi. by go przyjął.

MAREK. Toż to dziecko jeszcze. Karabina nie udźwignie, maszerować nie będzie mógł.

JULEK. Panie żołnierzu, trzydzieści kilometrów zrobiłem, idąc tu. O zmroku uciekłem z domu. Matka nie chciała mię puścić. Prosiłem ją, mówiła, że nie dojdę. Doszedłem. Wytrzymałem jestem.

WITEK. Patrzcie, jaki zapał go unosi. Niech wszyscy będą tacy, prędko dojdziemy do celu.

JÓZEK. Próżny wysiłek. Tak wielkie dzieło wykonać trzeba siły Kolosa.

MAREK. (z zapałem) Komendant Kolosem będzie.

JAN. Jego szare oczy mają większą moc, niż wszyscy mityczni bohaterowie.

JULEK. Na jego skinienie pójdą w bój tysiące. Hufce starych i młodych bić się będą o wolność Ojczyzny. Poleje się krew...

JÓZEK. (przerywa). Próżny to wysiłek, próżne trudy i znoje. Szkoda krwi na darmo przelanej.

MAREK. Z krwi naszej wyrośnie pokolenie silne, potężne, pokolenie Tytanów, wśród których pamięć o nas nigdy nie zaginie.

JÓZEK. (siada na ławie, opierając głowę na ręce) Tak, pamięć o nas zostanie zawsze świetlana i jasna. Potomność czcić nas będzie jako bohaterów, lecz ja nie dlatego rzuciłem dom i rodziców, nie dlatego przedzierałem się przez wrogie zastępy, lecz by dotrzeć do Polski i zaciągnąć się pod biało-czerwony sztandar. Szedłem, bo mię coś ciągnęło tu, pchało naprzód. Ozwał się we mnie zew miłości Ojczyzny. Lecz to wszystko napróżno...

WITEK. On wiecznie jest takim pesymistą. Świat przed nim czarny, ludzie niedobrzy.

(przez chwilę panuje milczenie).

MAREK. (podchodzi do okna) Świta już. Kury kędyś pieją. Czas mi już zmienić szyldwacha. (wychodzi).

JAN. (kładzie rękę na ramieniu Julka) Usiądź chłopcze. Odpocznij. Zmęczonym być musisz po tak trudnej drodze.

JULEK. Stokroć większą drogę bym zrobił, byle dotrzeć do Komendanta i służyć Orłowi Białemu.

WITEK. (wskazując na żołnierzy śpiących pod ścianą—jest ich pięciu) Trzeba zbudzić tych śpiochów.

JAN. Zbudź.

(Witek potrząsa ich. Ci z przeciąganiem i ziewaniem budzą się)

WITEK. (do żołnierzy) No chłopcy, wypaliście się?!

ŻOŁNIERZE. (chórem) Tak jest.

(Przez drzwi zagląda kuchta-Moryś).

MORYC. Dzien dobry na was.

JAN. Aaa... Moryś, co będzie dziś na śniadanie?

MORYC. Będzie zobaczono.

WITEK. (wciąga go do pokoju) No chodźże, powiedz, bo zakatrupię.

MORYC. Nu, poco odrazu z rękami? Można bez ręków. (przdrzeźnia). Zakatrupię, zakatrupię. A kto będzie zupę warzył dla waszych gościów? Nu kto?

WITEK. Ej, takiego kuchtę jak ty wszędzie znajdziemy.

MORYC. (zaperzony) Wypowiadam służbę.

JAN. (godząc ich) Dajcie spokój. Powiedz Moryc, po dobroci, co gotujesz i idź do swoich kotłów.

MORYC. Na śniadanie będzie czarna poliwka, a na obiad groch z mydłem i kluski z powidłem.

WSZYSCY: Co? Co?

JAN. (podechodzi do niego. Groźnie) Jak? Gadajl.

MORYC. Nu, ja to powiedział w język kucharski. Czarna poliwka to czarna kawa, ale bez likieru. Groch z mydłem, nu to groch ze słoninem (obraca się, spluwa). Tfu, chazer. Kluski z powidłem to kluski i gulasz. Co? złego jedzenia?

WSZYSCY: Dobre, dobre. Do góry naszego kuchtę. (zbliżają się do niego i podnoszą go).

MORYC. Nu taka zabawa to ja niechcieć. (Stawiają go na ziemię).

WITEK. (podechodzi doń i klepie go. Moryc za każdym razem ugina się)

Zuch Jesteś Moryc. Dobra repeta na dziś. No, ale idź już gotuj.

MORYC. (podechodząc do drzwi) Nu, może ja zły kucharz? A giten cześć. (znika).

JAN. Pocięcha z tym Morycem. (Słychać kroki. Wchodzi żołnierz-łącznik Romek)

ROMEK. Jest porucznik? (podechodzi do drzwi i puka. Wchodzi).

WITEK. Romek z pola walki powraca. Dobrze musi mieć nowiny.

JÓZEK. Et, dobre, dobre.

JAN. Zapytamy go, gdy wyjdzie.

JULEK. To ten pan żołnierz był na froncie?

WITEK. Tak, łącznikiem jest.

(otwierają się drzwi wychodzi porucznik i Romek, wszyscy powstają)

PORUCZNIK. Czuwacie chłopcy?

WSZYSCY. Tak jest, panie poruczniku.

PORUCZNIK. (spozstrzegając Julka) A ten chłopiec co tu robi?

JAN. (Prężąc się) Przyszedł zaciągnąć się do wojska.

PORUCZNIK. Chodź no tu chłopczel!

JULEK. (Wychodzi) Chcę być żołnierzem. Rzuciłem dom i zrobiłem trzydzieści kilometrów, by tu dojść.

PORUCZNIK. A matkę masz?

JULEK. (Smutno) Mam.

PORUCZNIK. I nie żal ci jej?

JULEK. Żal. Starą jest, kocham ją, ale Ojczyznę kocham stokroć więcej.

PORUCZNIK. Zuch jesteś. Takich trzeba nam jak-najwięcej. (do Jana) Dać mu ubranie i karabin.

JULEK. (składa ręce) O tak, karabin. (Porucznik wychodzi).

JAN. (podbiega do Romka) Romku, jakie nowiny przynosisz? Mów, opowiadaj.

ROMEK. Dajcie mi przedewszystkiem wody. (podają mu. Siada). Nasi odnieśli zwycięstwo!

WSZYSCY. Mów! Mów!

ROMEK. Okopaliśmy się pod wsią Brodnicami. Ranek był, gdy dano znak, że nieprzyjaciel się zbliża. Byliśmy wypoczęci i weseli. Każdy jednak ścisnął karabin w dłoni, pomny swej powinności. Zaczęła się strzelanina. Ukryci w rowach i lejach strzelaliśmy gęsto, mając amunicji podoostatkiem. Kule gwizdały wokół i rozlegały się głuche detonacje pocisków artyleryjskich. To nieprzyjaciel wymacywał nas. Zaczynało być gorąco. Nadomiar złego począł krążyć nad nami samolot, ale tego wzięło w obroty nasze działko zenitowe. W tem przez rów przebiegł rozkaz porucznika: „bagnet na broń! Do ataku!“ Wypadliśmy na pole i rozsypaliśmy się w tyraljerę pędząc przed siebie z bronią gotową do strzału. Dobiegaliśmy już, gdy nieprzyjaciel przypuścił kontratak. Zmieszało nas to. Rozpoczęła się walka na białą broń. Trup padał gęsty. Początkowo zwycięstwo chyliło się na stronę wroga. Ale gdy ochłonęliśmy ze zmieszania z podwójną energią poczęliśmy walczyć. Jęki rannych i niesamowite okrzyki „hurra“ rozlegały się dokoła. Porucznik ściał dwu bolszewików, ale nagle jakiś olbrzymi drab przewrócił go i chciał dobić. Rzuciliśmy się na pomoc. Rozszalała teraz

walka o porucznika. Ranny był tylko. Odrzuciliśmy wroga w tył, idąc naprzód bez dowódcy, bez rozkazów. Bolszewicy, widząc w końcu, że nie zdołają nam podołać, poczęli rzucać broń i wyciągając ręce do góry krzyczeli, że oddają się do niewoli. Część ich poczęła uciekać ku okopom, za tymi ruszyliśmy w pogoń i wycięliśmy ich do nogi. W ręce nasze wpadła ich amunicja i karabiny maszynowe. Gdy wracaliśmy ciągnąc zdobycz, Czerwony Krzyż zbierał rannych. (sięga powtórnie po wodę i popija).

(W miarę opowiadania początkowe białe światło stopniowo przybiera odcień czerwony. Gdy Romek kończy następuje znów białe oświetlenie. Za drzwiami począwszy od słów Marka: „Pamiętam...” stopniowo rozjaśnia się).

JAN. Oto jeszcze jedno chwalebne zwycięstwo.

JULEK. Więcej takich będzie pod takim wodzem jak Komendant. (Kurtyna spada).

Koniec odsłony I.

(dokończenie nastąpi).

B. Ch. kl. VI.

Wieczór letni.

Nadchodzą zwolna nocy cienie —

I mrok zasnuwa jasne zorze,

I uciekają hen promienie...

A taka cisza! O mój Boże!...

Nadchodzi wolno, wolniusieńko

Czar nocy letniej. Lęk tajemny

Błądzi wśród kwiatów, pada miękko,

Czai się w sadzie — bardziej ciemny.

Z północy sunie wielka chmura —

Coś — niby okręt, wokoło morze,

Z chmur — ład nieznany, szklana góra...

Ach! Niczem w bajce, mój Ty Boże!...

Z nad łąk unoszą się opary,

Niczem olbrzymiej rzeki wody,

I widzisz, choć wiesz, że nie czary —

Mglistych postaci korowody...

Za cudny zapach lip, matjoli,

Na ziemi, niebie — cieni morze,

Och! Nawet za to, co mnie boli —

Za wszystko dzięki Ci, mój Boże!...

E. Zapolski. kl. VII.

Zawrzało życie.

Koniec roku szkolnego... Mury gimnazjum, pełne życia i gwaru przez dziesięć miesięcy, stały pustką. Dziwnemi się zdają szeregi okien, patrzących na ulicę, z za których nie słyszy się żadnego głosu i dziwne wrażenie pustki i oczekiwania wywiera wnętrze gmachu, gdy echo odpowiada krokom zwiedzającego.

Członkowie kółka matematyczno-przyrodniczego też rozproszyli się w czasie wakacyj. Jeszcze przy końcu roku szkolnego sprzęgli się we wspólnym wysiłku i zorganizowali wystawę prac kółka w gabinecie przyrodniczym, lecz potem i oni opuścili swe sanktuarjum naukowe. W salach więc niegdyś tak pełnych życia pył tylko opada na stoły i niezmąconej ciszy żaden głos nie przerywa.

Odpoczynek... Oczekiwanie...

Wrzesień skoro nadszedł i zajrzał w opuszczone podwoje szkoły, jał się surmy bojowej i zagrał dźwięczną pobudkę. Na jej hasło sypnęła się brać uczniowska. Zaroiło się znów w salach wykładowych, korytarzach i podwórzach od szarych i granatowych mundurków. Kółko matematyczno-przyrodnicze organizowało się znów do pracy. Przy końcu września r.b. w związku z setną rocznicą epokowych odkryć M. Faraday'a zorganizowało maluśki obchód na jego cześć. Po nim na zebraniu wybrano nowy zarząd, który miał zorganizować kółko do pracy. Po uskutecznieniu zapisów, w pierwszych dniach października odbyły się zebrania, na których sekcje kółka przystąpiły do pracy. Znów więc kilka razy w tygodniu gabinet przyrodniczy gości w swych murach „matematycznych przyrodników“, którzy w skupieniu oddają się pracy zgodnie z celem organizacji.

Po dniach odpoczynku zawrzało życie.

SPRAWOZDANIE

**z walnego zebrania Bratniej Pomocy Uczniów
przy Gimnazjum Państwowem im. T. Kościuszki
w Słonimie.**

Uczestnicy zebrania dokonali wyboru nowego zarządu
B. P. U. do którego weszli:
jako prezes. Kol. Rzepecki Edward.

jako vice-prezes. Kol. Petkunasówna H.
 „ skarbnik. Kol. Bosiacki Albert.
 „ sekretarz. Kol. Maleszewski Stanisław.
 Do Komisji Rewizyjnej weszli: jako przewodniczący
 Kol. Deszyński Zbigniew i jako członkowie Kol. Michalski
 Bohdan i Zapolski — Downar Edmund.—

Stan Kasy B. P. U.: saldo z roku 1930/31 wynosi:

	688,73 zł.
Przychód do dnia 23/X/31.	485,10 zł.
Razem	1173,83 zł.
Rozchód do dnia 23/X/31.	861,76 zł.
Pozostało	312,07 zł.

Cet. VIII.

45 MINUT DOLE I NIEDOLE SZTUBAKA.

— Czy był już dzwonek?

— Zaraz będzie — odpowiada Konstanty i uchyla drzwi do kancelarii, by spojrzeć na zegarek.

Czesiek korzysta z tego. Kładzie książki na ławie i wsuwa się za wożnym do środka, tu wyciąga swą „drogocenną cebulę“, przykładą ją do ucha i stwierdza ze zmartwieniem, że stoi. — Bodajby cię... urywa i nakręca skrupulatnie, ale widząc, że Konstanty wysuwa rękę po dzwonek, wybiega, chwytając książki i wielkimi krokami wbiega na drugie piętro. Wchodzi do klasy, krzyczy donośnie:

— Dzień dobry! — i lokuje się w ławce, staczając boje o miejsce, gdyż banda „ściągaczy“ rozłożyła na niej swoje utensylja i siebie.

— Dzwonek! Na miejsca! Modlitwa!

Te trzy okrzyki rozlegają się po sobie, potem chóralna modlitwa i gderliwy głos profesora:

— Znów niema obsadki?

Potem sprawdzenie obecności. Okazuje się, że Różia, zgodnie z wczorajszą przepowiednią, jest nieobecna. Urywane słowa, uśmieszki na ustach i wreszcie donośny szept.

— Niezła z niej wróżka! Prawdomówna! — potem ogólny chichot i wreszcie — cisza.

Profesor spojrzawszy świdrującymi oczyma na klasę, powoli roztworzył notes i... wywołał:

— Głębikiewicz, cośmy mieli na dziś?

— My? Trójmian kwadratowy, maximum i minimum, postać kanoniczną.

Przyjdź do tablicy!

Głębikiewicz robi się różowy, lecz idzie.

— Proszę wyprowadzić postać kanoniczną!

— Kanoniczną?

— Tak!

— Nie umię, panie profesorze.

— Siadaj! To źle! Wycieralski!

— Nie umię.

— Żywilski!

— Także.

— Co także? Co za żarty stroicie?

— Nie umię, panie profesorze!

— Aha! Więc dobrze!

Wymowne dwójeczki przy nazwiskach dopełniają pogromu.

Czesiek, siedzący dotąd, jak mysz pod miotłą, szturcha Bolka, któremu z przerażenia poróżnowiał nos i mówi przez zęby: — Srogil!

Bolek poprawia okulary i wymownie kiwa głową. Siedzący za nim Wojtek ma twarz śnieżno-błądą, ale w oczach budzą się ogniki sprzeciwu. Decyduje się wreszcie. Poprawia włosy i szybko wstaje.

— Panie profesorze, bo my...

Klasa porwana przykładem, szemrze cicho.

— Tak, tak. My nie przerobiliśmy tego, bo...

— Ciszal! Z jednym teraz rozmawiam.

Wojtek gada dalej.

— Nie mamy się z czego nauczyć. Przerabialiśmy to dawno.

Dobrze! Siadaj.

W tej chwili wsuwa się przez drzwi Rózia. Spotyka ją owacyjne psykanie. Profesor bierze z jej rąk kartkę i notuje w dzienniku spóźnienie. Potem bierze kredę, staje przy tablicy i poczyną wypisywać nieskończone szeregi cyfr, znaków, liter. Uczniom ręce już mdleją od przepisywania, ale humor dobry. Wtem Czesiek wyjmuje swą „cebule“. Spozstrzegają to inni i po chwili klasa wypełnia się delikatnymi szeptami. — Ile? ile? ile?

Czesiek pokazuje pięć, a potem dwa palce, w tej chwili jednak rozlega się donośny głos dzwonka. Profesor kończy, bierze dziennik i wychodzi. Czesiek patrzy zdumiony na zegarek, obraca go w rękę, wreszcie przykładą do ucha i momentalnie twarz jego wyraża gniew, a z ust wyrzuca słowa pełne gorzkiego narzekania:

— Stoi lichol! Zeby go...

Hałas, śmiechy, rozmowy głuszą dalsze słowa.

Chłopcy gromadzą się przy ścianie i baranieniami głosami zaczynają się wydzierać, robiąc przytem wniebowzięte miny. Dziewczynki słuchają w milczeniu ich śpiewu, potem wzru-

szają ramionami i odchodzą do pieca, który jednak jest zimny. Bolek raz po raz uciera swój nos i robi straszne miny — „skupia uwagę“, wreszcie krzyczy donośnie:

— Chodźmy po drzewo!

Momentalnie klasa pustoszeje. Wszyscy spieszą gromadnie na dół i tu, ku przerażeniu Konstantego biorą po kawałku drzewa, stają w pary, i nucąc tryumfalnie wracają na górę. Z wielką pieczą kładą drzewo pod piecem i przystępują do wyboru: „komitetu opalania klasy“. Teraz jednogłośnie okrzykują, że westalką ogniska klasowego winna pozostać tylko Stenia. Hala i Ania myśl tę podtrzymują i wreszcie, po długich namowach Stenia przyjmuje zaszczytne stanowisko. Dwu palaczy Wojtek i Kazik układają drzewo w piecu, smoląc się przy tem jak prawdziwi kominiarze. Za chwilę ustępuje uroczystość zapalenia. Chłopcy dmuchają jak miechy kowalskie, ale ogień jest bardzo słaby, ledwie się jarzy. Dzwonek przerywa dalsze zabiegi. Wszyscy, chociaż niechętnie siadają na miejsca. Jeszcze kilka okrzyków, uśmieszków i wszystko poważnieje. Profesor wchodzi do klasy i zaczyna się nudna fizyka. Po sprawdzeniu obecności uczniów i zapisaniu lekcji profesor wyzywa do tablicy Wojtkę. Ten z miną wyrażającą wielkie zadowolenie podnosi się z ławki, która wydaje mu się w tej chwili puchową pościelą i zbliża się do tablicy.

— Co to jest soczewka wypukła?

— Soczewka wypukła?

— Tak! wypukła!

— Aha. Soczewka wypukła jest to kawałek przezroczystego szkła wypukłego z obu stron.

— Taką definicję daje uczeń pierwszej klasy. Proszę mi dać definicję godną ucznia klasy ósmej.

Wojtek milczy. Na czole jego i pod nosem ukazują się liczne kropelki potu. W ręku wygniata ołówek, na którym skupia teraz całą swą bezsilną wściekłość.

— No to proszę siadać. Jak wy nie umiecie się uczyć sami, to weźcie sobie korepetytorów, a umieć musicie. Teraz zrobimy doświadczenie. Proszę zasłonić okna. Uczniowie na tę wiadomość nabierają animuszu i spoglądają wyzywająco. Róża ma kłopot z obsadką. W żaden sposób nie chce pisać dobrze, drze papier i pozostawia kleksy. Za chwilę w klasie ciemno. Odzywają się przyciszone piski i naśladowania głosów natury. Bolcio imituje barana. Profesor zakłada pryzmaty na wąską szczelinę światła i bada widmo, które jak na złość nie chce się ukazać, co uczniów wprowadza w wielką uciechę. Kazik, czując przed sobą pulchne kształty podnosi już rękę do uderzenia, gdy wysuwa się przed niego Bolek i zaczyna coś gadać. Kazik, któremu to pomieszało plany, krzyczy:

— Nie zawracaj głowy!

Bolek obrażony odchodzi na bok. Nagle Stenia wydaje pisk, który daje się zrozumieć dopiero po dłuższem wsłuchaniu się. Znaczy to:

— O, o, jest!

— Co jest?

— O, światło!

— Wiemy, że jest światło!

— Ale tęcza!

— Aha, widmo!

— Krótkie, urywanie uśmiechy i dalsza uwaga, skierowana na rodzące się widmo.

Po dłuższem badaniu uczniowie analizują je i wreszcie siadają na miejsca. Kazik i Michał odsłaniają okna.

Potem profesor dyktuje do domu zadanie, tłumaczy je i zabiera się do przeglądania zeszytów, ale dzwonek przeszkadza mu w tej czynności, ku wielkiemu zadowoleniu niemających zeszytów. Czesiek wyciąga zegarek i z wielkiem zdziwieniem spostrzega, że tylko trzy minuty różnicy jest między nim, a zegarem szkolnym. Reguluje go, wkłada do kieszeni i dąży do... bufetu, gdzie zbiera się wkrótce elita głodomorów.

ZE ŚWIATA.

Dnia 18/X. r. b. zmarł jeden z największych wynalazców, jakich kiedykolwiek miała ludzkość, Tomasz Alwa Edison.

Tomasz Edison urodził się 2 listopada 1847 r. w Milano (st. Ohio). Ojciec jego był Holendrem, matka Szkotką. Działowie jego wyemigrowali do Ameryki Północnej w XVIII. w. Był synem niezamożnych rodziców tak, że już w młodszych latach musiał zarabiać na chleb.

Z najważniejszych wynalazków jego na podkreślenie zasługuje udoskonalenie telefonu i telegrafu, wynalezienie przyrządu do liczenia głosów w parlamencie, pióra elektrycznego, zwanego później mimografem, gramofonu (1877 i fonotonu, maszyny do mówienia).

Najważniejszym etapem jego wynalazczości jest wynalazek żarówki elektrycznej (1878).

Wogóle twórczość jego obfitowała w niezmierną ilość oryginalnych pomysłów, mających zastosowanie w życiu.

Twórczości jego, zostanie poświęcona specjalna akademja urządzona przez Kółko Matem. Przyrodnicze.

W Wiedniu zmarł jeden z największych pisarzy wiepńskich, Certur Schnitzler. Cała jego niezwykle bogata twórczość była ściśle złączona z Wiedniem, wykwitła z je-

dynej w swoim rodzaju atmosfery tego miasta. We wszystkich niemal utworach zarówno epickich, jak i dramatycznych, zakłęty jest jakby „czar walca“. Odzywa się w nich zawsze nawpół skoczna i nawpół smętna nuta tej wiedeńskiej formy muzycznej. Wiedeńskość jego sprawiła, że wypowiadał wszystko w pełnej dziwnego uroku formie. Umiał wnikać w psychikę ludzką a w szczególności kobiety. Nie było przed nim w literaturze światowej pisarza, któryby z taką jak on subtelnością umiał wczuć się w istotę płci nadobnej. On to po raz pierwszy w literaturze niemieckiej zapotezował „słodkie dziewczę“ wiedeńskie „Das inssl Mudel“.

Zabłysnął najpierw jako nowelista (Umarli milczą, Leutnant Sustel, Testament kawalera, Pożegnanie) później zaś jako dramataysta (Towarzysze, Zew życia, Samotna droga).

Z POLSKI

P. Marszałek Piłsudski po parutygodniowym pobycie w Rumunji, powrócił do Polski.

Dnia 26 października rozpoczął się w Warszawie wielki proces, byłych więźniów brzeskich.

Dnia 1 listopada miasto Kraków obchodziło 13 rocznicę swego oswobodzenia.

W Poznaniu w ostatnich dniach października został rozegrany mecz międzypaństwowy Jugosławja — Polska, przynoszący zespołowi polskiemu świetne zwycięstwo w stosunku 6:3.

KRONIKA GIMNAZJUM.

Dnia 10 września odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Sławomira Czerwińskiego, ministra oświaty. Na którym wzięli udział wszyscy uczniowie Gimnazjum.

Dnia 15 października odbyła się uroczysta akademja ku czci Tadeusza Kościuszki. Na program złożyły się: deklamacje, śpiew, utwory fortepianowe i śpiew solowy kol. H. Łukowskiej. Akademję zakończono chóralnem odśpiewaniem Hymnu Narodowego.

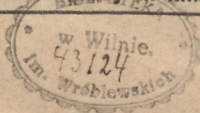
Dnia 29 paździer. został wygłoszony odczyt z przeźroczami p. t. „Zabytki budownictwa na Kresach Wschodnich“.

Dnia 30 paździer. staraniem Kółka Krajoznawczego został wygłoszony przez kol. B. Michalskiego odczyt p. t. „Holandja“, ilustrowany licznymi i pięknymi ilustracjami.

Redaktor odpow. p. A. Ryndzionkova.

Administrator R. Dojlidówna.

Redaktor naczelny M. Klimowicz.



LMA VRUBLEVSKIŲ BIBLIOTEKA



002 00411690 9

031674